

**TILLIE COLE**

**REAP**



**TILLIE COLE**

# **REAP**

**PORANIONE DUSZE #2**

**TŁUMACZENIE  
KATARZYNA AGNIESZKA DYREK**

**OŚWIĘCIM 2022**

Tytuł oryginału

*Reap*

Copyright © 2015 by Tillie Cole

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne

Oświęcim 2022

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja, korekta, skład i łamanie:

Editio

Projekt okładki:

Paulina Klimek

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8320-066-8

*Muzyce – za stałą inspirację.  
Dla Johnnyswim – za natchnienie do spisanie tej historii.*



*Ty i ja, jesteśmy ogniem i wodą...  
Jesteśmy burzą i grzmotem...  
– utwór You and I*





## PROLOG

221

Trucizna.

Ból.

Ogień.

Niezdolne palenie.

Wściekła lawa w moich żyłach.

Skóra... moja skóra była za gorąca... za ciasna dla ciała...

Dyszałem z wściekłości. Niewyobrażalny gniew wrzał w moim wnętrzu. Uderzając w mój umysł, doprowadzając do szału...

*Rozerwij – warczał głos w mojej głowie – połam kości, rozszarp ciało, poczuj na rękach ciepło krwi...*

Pomimo ciężkich łańcuchów zapiętych na nogach i rękach chodziłem w kółko. Musiałem zabić. Musiałem wyswobodzić się z tych kajdan.

*Musisz zabić, by zatrzymać truciznę.*

*Musisz zabić, by zatrzymać wewnętrzny ból.*

– Znów w Nowym Jorku? – odezwał się nagle ktoś po drugiej stronie pomieszczenia. – Gruzini w końcu dokonali wielkiego powrotu?

– Tak. I długo nam to zajęło. Mamy tu interes. Bardzo stary interes – powiedział Pan, a moje serce zaczęło walić jak młotem. *Słuchaj Pana. Słuchaj rozkazów Pana.*

Na twardej podłodze rozbrzmiały kroki. Mężczyzna zbliżył się do Pana. Przyspieszyłem.

– Z Volkovem? – zapytał inny głos. – Bo jeśli tak, to przez ostatnie czterdzieści lat wiele się wydarzyło. Cała grupa jest nietykalna. Są zbyt silni.

Pan się zaśmiał.

– Wróciliśmy silniejsi.

– Wiedzą, że tu jesteście?

Pan milczał przez chwilę, po czym odparł:

– Wkrótce się dowiedzą. Nie będziemy się ukrywać przed tymi czerwonymi śmieciami.

Pan podszedł do mnie, drugi mężczyzna podążył za nim. Spiałem mięśnie, gdy stanęli blisko... za blisko.

– Co do...?

– Opracowaliśmy nowy środek. Potwierdzono, że zapewnia posłuszeństwo w stu procentach. Nikt inny ci tego nie da, Nasar. Włosi nie mają czegoś takiego. Twoje dochody przewyższą ich zyski, kiedy twoje dziewczyny będą spełniać każdy kaprys klienta.

Głos Pana ranił moje uszy. Za każdym razem, gdy go słyszałem, cały sztywniałem, czekając na rozkaz. Zgodnie z jego poleceniem trzymałem spojrzenie wbite w ciemną, mokrą posadzkę, nigdy nie nawiązując z nim kontaktu wzrokowego. Nazywał

mnie psem, zabójcą. Powiedział, że jestem jego niewolnikiem.

Zalał mnie piekący żar, wrzący ból przeniósł się z głowy na całe ciało. Dygocząc, spałem się i zawyłem z bólu. Ogarnęła mnie wściekłość.

Każdy mięsień drżał i palił, spragniony, by zadać śmierć. Łańcuchy zagrzechotały głośniejsze, gdy zacisnąłem dłonie w pięści, naciągając ciężkie okowy zacisnięte wokół nadgarstków, wyobrażając sobie, jak zarzynam przeciwnika.

Pan podszedł bliżej. Przyspieszyłem. Moje serce zabiło jeszcze szybciej. Syknąłem głośno przez zacisnięte zęby.

*Klavs, klavs, klavs* – zabij, zabij, zabij – musiałem zabijać.

Odetchnąłem głęboko, gdy zbliżył się do mnie obcy mężczyzna. Warknąłem i wyszczerzyłem zęby, ostrzegając, by trzymał się, kurwa, z daleka.

Odsunął się. Poczulem od niego swąd lęku.

Strachu.

Strach cuchnął. Śmierdział. Nienawidziłem go. Kurewsko go nienawidziłem.

*Klavs, klavs, klavs...*

Trucizna w mojej krwi wciąż wrzała, żyły bolały, palone jadem. Pociągnąłem za łańcuchy łączące moje ręce, szukając uwolnienia od męki, jaką niosła ze sobą trucizna. Napinając mięśnie, strzelając karkiem i rozciągając plecy, ryknąłem głośno i jeszcze bardziej przyspieszyłem swój marsz.

*Tam i z powrotem... Tam i z powrotem... Tam i z powrotem...*

Mężczyzna zbliżył się i zaczął chodzić dookoła mnie, krople jego potu opadały na splekaną podłogę piwnicy.

– Udaje ci się go kontrolować? Wygląda jak dziłkus.

Pan podszedł do przodu, zbliżył się do mnie, więc się spałem. Klepnął mnie w ramię.

– 221 jest cennym okazem, to prototyp, mój *dzaghli*, pies. Grzecznie służy. Spełni każdy rozkaz. Rano dostał skoncentrowaną dawkę serum A. Serum A tworzy podporządkowanych zabójców, serum B całkowicie uległe niewolnice, gotowe na wszystko, czego tylko zażadasz – mówił z ekscytacją Pan. – 221 zabija z doskonałą efektywnością. Unieściecia całkowicie.

Mężczyzna przestał chodzić wokół mnie, stanął obok, przez co słyszałem bicie jego serca.

– Udowodnij – powiedział cicho.

Pan się roześmiał.

– Masz tu swoich ludzi?

– Mam – odparł drugi z mężczyzn. – Dawać ich tu! – krzyknął do kogoś stojącego w drzwiach piwnicy.

Odsunął się i stanął obok Pana.

– Potrzebuję kogoś, komu będę mógł ufać. Wojna z Włochami się wzmacza. Szukam człowieka, który nie będzie kwestionował moich poleceń. Kogoś, kto

będzie niezwyciężony w walce. Chcę również posłusznych kobiet. Otwartych na propozycje klientów. Jeśli ten osobnik dowiedzie, że narkotyk, który stworzyłeś, działa tak, jak mówisz, dobijemy targu.

Pan się odsunął. Podszedł do mnie jeden ze strażników i zaczął rozkuwać kajdany. Kołysałem się na nogach, gdy łańcuchy znalazły się na posadzce. Przyglądając się własnym dłoniom, powoli zacisnąłem je w pięści, przy czym chrzęst knykci odbił się echem od ścian pomieszczenia.

Zza moich pleców dało się słyszeć ciężki oddech. Uniosłem górną wargę. *Stabość...*

– 221, *t'avis mkhriv* – nakazał Pan, co znaczyło, bym się odwrócił, więc spełniłem polecenie, wciąż zwieszając głowę, i ustawiłem stopy w jego kierunku. – 221, *mzad.* – Pan kazał się przygotować. Uniosłem głowę. Przede mną stało sześciu facetów. Sześciu uśmiechających się gnoi z nożami.

Moimi żyłami popłynęła kolejna porcja lawy, a niski pomruk zadudnił w piersi.

*Klavs, klavs, klavs.*

– 221, *t'avis mkhriv* – powołał komendę Pan. Strażnik wepchnął w moje dłonie dwa czarne sai. Nie odrywałem wzroku od stojących przede mną ludzi – byli jedynie ofiarami. Obróciłem głowę na boki, stanąłem w rozkroku i przygotowałem się na atak. Krew w moich żyłach płynęła coraz szybciej, dłonie świerzbiły, by porznać ich na kawałki.

Mężczyzna odezwał się ponownie:

– To moi najlepsi ludzie. Jeśli twój pies ich pokona, mamy umowę.

– Ilu ma zabić? – zapytał z ciekawością Pan.

Mężczyzna parsknął śmiechem.

– Ilu? Chcesz powiedzieć, że jeśli mu rozkażesz, zabije ich wszystkich?

– Będzie zabijał, dopóki nie rozkażę mu przestać.

Mężczyzna stanął przede mną, przyglądając mi się małymi, ciemnymi oczami.

Wyszczrzyłem zęby i warknąłem.

Natychmiast się cofnął. Uśmiech w końcu rozciągnął jego wąskie usta, a w oczach rozpalił się ogień.

– Chcę zobaczyć, jak zarzyna ich co do jednego.

– 221 – powiedział Pan. Moje mięśnie stężały, palce zacisnęły się na sai. – *Sasaklo!*

Zarżnij.

Zrobiłem krok do przodu w chwili, w której tamtych sześciu rzuciło się na mnie jednocześnie. Czerwona mgła zasnuła mi wzrok, gdy wykonałem pierwsze uderzenie, a krew chlusnęła mi na pierś.

Ciąłem.

Patroszyłem.

Szlachtowałem.

Aż zarżnąłem ich wszystkich.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### LUKA

*Kazamaty*

*Otwarcie sezonu*

*Brooklyn, Nowy Jork*

Zamrugałem... Kilkakrotnie. Kurwa, nie zadzia-  
łało. Nie usunęło obrazów z mojego umysłu.

Uniosłem rękę, wbiłem palce w węzeł jedwabne-  
go krawata, który musiałem nosić, i rozluźniłem go.  
Nie mogłem oddychać.

Każdy mięsień mojego ciała był spięty, gdy sie-  
działem w tej dusznej prywatnej kabinie, wpatrując  
się w klatkę Kazamat. Szerokie okno zapewniało mi  
świetny widok na pieprzonych zawodników, którzy  
rozrywali się nawzajem.

Wrzask publiki był ogłuszający. Ludzie krzyczeli,  
domagając się rozlewu krwi, gdy tylko rozpoczęła  
się pierwsza walka w tym sezonie.

Bez względu na to, jak mocno starałem się od-  
wrócić spojrzenie, mój wzrok nieustannie wracał do  
dwóch facetów w klatce. Serce pędziło jak oszala-  
łe, dłonie zaciskały się w pięści, a szczęka bolała od  
zbyt mocnego zgrzytania zębami.

Przy każdym zadawanym ciosie moje nogi drżały. Z każdą kroplą krwi skapującą na betonową posadzkę, z każdym uderzeniem ciała o metalową konstrukcję klatki, ból wywołany zazdrością ciał mój żołądek.

Chciałem tam wejść, chciałem rozerwać tych sukinsynów na strzępy. Pragnąłem poczuć chłód kastetów na palcach, poczuć, jak ich kolce powoli przebijają ciała przeciwników. Pragnąłem patrzeć, jak życie uchodzi z ich oczu. Chciałem zadać śmierć, wyrwać komuś pieprzoną duszę.

Mieszkający w moim wnętrzu potwór chciał wolności. Zaczynałem przegrywać walkę o utrzymanie go w środku. Pół roku... Sześć miesięcy z dała od klatki, a mimo to instynkt nakazywał autorytarnie, bym do bym wrócił do środka. Należałem do ringu, zasługiwałem, by na nim walczyć. Moje koszmary przybierały na sile, powracały wyraźne wspomnienia zabitych, wyrzuty sumienia i żmudna walka, aby przystosować się do tego zapomnianego przez Boga świata. Świata, w którym coraz trudniej było przebywać.

*Cholera!* Nie mogłem oddychać!

Pochyliłem się i przeczesalem palcami włosy, walcząc z myślami i potrzebami nawiedzającymi moją głowę. Chciałem zapanować nad wewnętrznymi demonami, a jednocześnie wyjść z tej dziury, w której znajdował się ring, by nie czuć w powietrzu zapachu nadciągającej śmierci. Chciałem uciec od tej klatki. To właśnie w podobnej zarzniętem ponad



sześciuset ludzi. To właśnie na tym ringu zabiłem swojego jedyne go przyjaciela.

Skrzywiłem się, gdy przed oczami stanęła mi twarz 362: jego uśmiech, gdy poznaliśmy się w Gułagu jako gówniarze, to, jak uczył mnie przetrwania, i jego twarz, gdy odbierałem mu życie, kradnąc szansę na dokonanie zemsty na ludziach, którzy skazali go na egzystencję pieprzonego potwora.

*Pochłaniała mnie wściekłość, gdy siedziałem na nim okrakiem, wbijając mu kolce kastetu w szyję. Czuję jedynie gniew, kiedy drugą, okutą żelazem pięścią uderzyłem w jego skroń. Byłem zdeterminowany, by zarrznąć Durova. Unosząc obie pięści i kierując je prosto w dół, wbite kolce w pierś 362, po czym do moich uszu dotarł jego ostatni, świszczący oddech, co wyrwało mnie z napędzanego furii transu.*

Zabiłem go. Obserwowałem, jak jego ciemne oczy zmatowiały pod wpływem chłodu śmierci. Widziałem, jak kolor wywołany walką odpłynął z jego twarzy i słyszałem ostatnie uderzenie jego serca, aż nie pozostało nic prócz ogłuszającej ciszy.

„Zemsta...” – wymamrotał 362, dławiąc się krwią spływającą mu do gardła.

Obiecałem mu zemstę na skurwielach, którzy zesłali go do celi Gułagu. Ludziach, których nadal nie odnalazłem i nie zaszlachtowałem z zimną krwią.

Zawiodłem 362, mojego jedyne go przyjaciela, i nie mogłem z tym żyć.

Wzdrygnąłem się, gdy wspomnienia obległy mój umysł, serce waliło mi jak młotem, a szum krwi rozbrzmiewał w udręczonych uszach. W chwili paniki moje spojrzenie opadło na środek klatki, gdzie jeden z mężczyzn chwycił broń – ząbkowany myśliwski nóż – i wbił go prosto w oko przeciwnika, na co publika gwałtownie zawrzała.

Mój ojciec wraz z worem w zakonie wstali, klaszcząc, demonstrując swoją wyższość spragnionemu krwi tłumowi, znajdującemu się poniżej. Krwiożerczej publice, która wymieniała już pieniądze i robiła zakłady na następną walkę. Wszyscy ci zdeprawowani, sadystyczni skurwiele dziękowali rosyjskim królom za ten przekłety ring śmierci.

Ojciec spojrział na mnie i agresywnie szarpnął głową. Nakazywał, bym wstał i klaskał jak jakiś pieprzony bożek w oknie, by pokazać patrzącym w górę sukinsynom, że jestem *kniaziem* Braci, księciem rosyjskiej przestępczej organizacji. Jedynym dziedzicem przeznaczonym do przejęcia władzy. Nieustannie musieliśmy demonstrować naszą siłę.

Ale nie mogłem się ruszyć. Garnitur, w który mnie wciśnięto, cholernie mnie dusił. Jedwabny krawat, mimo iż poluzowany, wciąż wydawał mi się pieprzoną obrożą, za którą trzymała mnie Brac, wyznaczając do roli, której nie byłem w stanie przyjąć.

Próbowałem się ruszyć, ale nie potrafiłem się zmusić, by wstać. Wspomnienie wykrwawiające-

go się pode mną 362 jeszcze mocniej zakłuło mój umysł, przez co oddech uwiązał mi w gardle.

Zamknąłem oczy, policzki spływały mi potem. Traciłem panowanie nad sobą, kurwa, traciłem kontrolę.

Pół roku pieprzonych tortur. Sześć cholernych miesięcy powolnego popadania w obłąd, zbyt wiele bolesnych wspomnień i wizji atakujących mój umysł.

Poderwałem się z miejsca, ściągając na siebie spojrzenie wora.

– Luka?

Pomieszczenie zaczęło wirować, ściany zbliżały się do mnie.

Ojciec zbliżył się o krok.

– Synu? Co się dzieje?

Nie mogłem odpowiedzieć. Musiałem stąd natychmiast wyjść, potrzebowałem uciec z tego pieprzonego pudełeczka.

Rzuciłem się do stalowych drzwi odgradzających nas od reszty i użyłem całej siły, by je otworzyć, wyrywając przy tym górny zawias z futryny.

– Luka! Wracaj! – krzyczał ojciec, gdy znikąłem w ciemnym korytarzu. Zignorowałem go i odwróciłem się w kierunku schodów wiodących do wypełnionego tłumem pomieszczenia.

– Pan Tolstoi? – zawołał jeden z naszych *Byków*, gdy go mijałem. Głowy odwracały się za mną, kiedy przedzierałem się pośród gnoi próbujących podejść

do klatki, by zobaczyć rzeź. Jednak wszyscy ci skurwiele schodzili mi z drogi, wyczuwając, że rozerwałbym ich na strzępy, gdyby tylko przede mną stanęli.

Udałem się w kierunku korytarza – znajomego przejścia, którym chodziłem, gdy byłem Razem, zawodnikiem śmiercionośnego ringu, w jakiego zmieniono mnie w dzieciństwie. Żyłem w tych korytarzach jako zawodnik Kazamat, zostawałem w nich każdej nocy, mając tylko jeden cel: zemścić się na Aliku Durovie, przyjacielu z dzieciństwa, który wraz ze swym ojcem skazał mnie na egzystencję maszyny do zbijania.

Ignorując trenerów i zawodników znajdujących się w ciasnej przestrzeni, udałem się do szatni, którą niegdyś zajmowałem. Uderzyłem ramieniem w drzwi. Natychmiast się otworzyły. Wszedłem i z trzaskiem zamknąłem je za sobą, odcinając się od świata.

W pomieszczeniu panowała cisza, żaden hałas nie mieszał mi w głowie. Ta szatnia sprawiała, że czułem się bezpieczny.

Przechodząc na środek, skopałem skórzane buty z nóg, od razu czując przyjemny chłód betonu. Odchyliłem głowę i stanąłem w srebrnej poświacie księżycy, wpadającej przez szparę w ścianie, po czym rozwiązałem krawat. Drżącymi rękoma próbowałem rozpiąć guziki koszuli ale ryknąłem, gdy mi się nie udało. Chwyciłem kosztowny materiał i pociągnąłem tak mocno, że rozerwałem go na pół, po czym rzuciłem strzępy na podłogę.

Byłem nagi od pasa w górę, moja pierś unosiła się gwałtownie przy każdym oddechu. Próbowałem się uspokoić, pomyśleć o moim obecnym życiu, odsunąć od siebie piekło Gułagu, ale wszystko to było daremne.

Podszedłem do ściany, uderzyłem otwartymi dłońmi w twarde, zimny kamień i zamknąłem oczy, starając się oddychać. W tym pomieszczeniu poczułem się jak dawniej. Jak on, jak Raze. Jak zawodnik 818 z klatki, dawca śmierci z gruzińskiego Gułagu. Pieprzony Luka Tolstoj był dla mnie kimś obcym. *Kniaź* nowojorskiej Braci był jakimś cholernym nieznanym.

W mojej głowie krążyły wspomnienia tego, jak zabijałem, jak układałem kastety, by zadać największy ból... Kurwa, cieszyły mnie. Były znajome. Były... moje.

Nagle ktoś złapał mnie za ramię. Przypominało mi to atak strażnika Gułagu. Przez lata byłem zabawką do ruchania, workiem treningowym dla nadpobudliwych gnoi, wykorzystujących zagubionego dzieciaka, jakim niegdyś byłem. Odwróciłem się i chwyciłem sukinsyna za szyję, po czym uderzyłem jego plecami o ścianę. Wściekłość zasnuła mi wzrok, zacisnąłem zęby i podniosłem drania z podłogi.

Nikt mnie już nie skrzywdzi... nigdy. Byłem teraz silniejszy, twardszy. Zbudowałem mięśnie, gdy zmieniono mnie w zimnokrwistego mordercę.

Paznokcie wbiły się w moją skórę, świszczący oddech dotarł do uszu, jednak ścisnąłem mocniej,

ponieważ napędzała mnie znajoma chęć odebrania życia.

Cienias zaczął słabnąć w moich rękach, więc jeszcze bardziej wzmocniłem uchwyt, niemal skręcając mu kark. Miał zdechnąć. Nie chciałem pozwolić, by ktoś znów mnie zgwałcił. Nie miałem zamiaru dać się wepchnąć do klatki, by zabić kolejnego niewinnego dzieciaka. Ja również nim byłem. Ten skurwiel miał gryźć piach. Umierać powoli i boleśnie za sprawą moich rąk. Nie dotknie mnie ponownie. Nie wrzuci mnie znów na ring...

– Luka!

Zbyt skupiony na zabijaniu, nakręcony adrenaliną, która przysłała wraz z zatrzymywaniem się pulsu w jego szyi, nie słyszałem, że otworzyły się drzwi za moimi plecami. W umyśle odtwarzał mi się pokaz slajdów – porwanych obrazów ludzi, których zabiłem, dzieciaków błagających o życie, strażników celujących mi w twarz, jeśli ich nie wykończę. Ból, tortury, gwałty, krew, tak wiele pieprzonej krwi...

– Luka, przestań! – Odległy, znajomy głos przedarł się do mojego wzburzonego umysłu. Potrząsnąłem głową.

– Luka, puść go – uspokajał głos. Znałem go. Sprawił, że moje serce zaczęło zwalniać. Koł mnie... Kto...? Co...?

– Luka, *lubov moja*. Wróć do mnie. Jestem przy tobie. Wracaj. Walcz ze wspomnieniami. Pokonaj je i po prostu wróć do mnie.

*Ki... Kisa... Moja Kisa?* Zamknąłem oczy na dźwięk tego kojącego głosu i nowe wspomnienia napłynęły do mojej głowy. Chłopak i dziewczyna na plaży. Całujący się. Kochający się. Niebieskie oczy. Brązowe oczy. Jedna dusza. Stracona miłość. Odnaleziona. Ślub. Miłość. Tak wiele miłości...

*Kisa.*

Dysząc, otworzyłem oczy, moja wolna ręka drżała, cała skóra pokryła się potem. Zaciśnięta dłoń była uniesiona, a kiedy powiodłem wzrokiem po ręce, zobaczyłem, że w stalowym uścisku trzymałem za szyję mężczyznę. Mężczyznę... którego twarz była mi znajoma.

Zdezorientowany tym, co zaszło, odsunąłem się, rozluźniłem palce, a trzymany przeze mnie człowiek upadł na podłogę, sapiąc i walcząc o oddech.

Cofałem się, aż trafiłem plecami na przeciwną ścianę. Obok mnie przesunęły się stopy, ale nie mogłem unieść wzroku, by zobaczyć, do kogo należały. Wpatrywałem się w podłogę. Nogi się pode mną ugięły, więc usiadłem i skryłem twarz w dłoniach.

– Viktor? Viktor? Dobrze się czujesz? – Kobięcy głos skłonił mnie do uniesienia głowy. Zobaczyłem moją Kisę, moje *Solnyszko*, pochylającą się nad mężczyzną, dotykającą go po...

Skurczył mi się żołądek.

*Viktor.* Viktor, mój trener, człowiek, który pomógł mi pokonać Alike Durova.

Poczułem, jakby wytatuowany grubą czcionką na piersi numer z Gułagu zaczął palić mnie żywym ogniem, i spojrzałem na zamknięte oczy Viktora. Kisa zawołała na pomoc naszych ludzi.

Do pomieszczenia wbiegło dwóch ochroniarzy, przyglądałem się im, jakby poruszali się w zwolnionym tempie. Kisa się odsunęła, by pomogli Viktorowi się podnieść. W ułamku sekundy wyciągnęli go na zewnątrz. Poczułem ból, ostry niczym sztylet wbity prosto w brzuch.

Zacisnąłem dłonie w pięści, gdy uświadomiłem sobie, co takiego zrobiłem. Niemal zabiłem Viktora.

Drzwi zamknęły się cicho, usłyszałem zgrzyt zamka, gdy dwa stalowe bolce wślizgnęły się na miejsce, więżąc mnie w środku.

Zbliżyły się ku mnie ciche kroki, po czym kojąca woń słodkich kwiatów obmyła mnie i wypełniła nozdrza.

*Solnyszko.*

Miękkie palce niespodziewanie dotknęły mojej dłoni. Wzdrygnąłem się i odsunąłem je, walcząc z instynktem, by zabić, skrzywdzić. By okaleczyć i zarżnąć.

– Luka, spójrz na mnie – poleciła Kisa, ale wciąż trzymałem głowę nisko. – Luka – powtórzyła ostrzej. – Spójrz na mnie.

Zagryzłem zęby, podniosłem głowę i odnalazłem wzrokiem parę niebieskich oczu.

*Kisa. Moja żona.*



Przechyliłem głowę na bok, gdy do oczu Kisy napłynęły łzy i wyciągnęła rękę, by dotknąć mojej twarzy.

– Luka...

– Nie! – warknąłem. Oparłem się o ścianę, uciekając przed jej dotykiem. – Nie dotykaj mnie! Nie chcę cię skrzywdzić.

Kisa się wycofała. Wiedziałem, że mi się przygląda. Czułem na sobie jej wzrok, spalający moją skórę. Siedzieliśmy w ciszy przez czas, który wydawał się wiecznością. Moje dłonie wciąż były zaciśnięte w pięści, a krew nadal wrzała wściekłością. Nagle Kisa wstała, więc spiąłem się, oczekując, że wyjdzie – moje serce ponownie przyspieszyło na myśl o tym, że mogłaby zostawić mnie samego.

Jednak nie odeszła. Nie udała się do drzwi. Nie wyszła. Pozostała, milcząc. Słyszeć było jedynie szelest jej ubrania.

Nie spojrzałem w górę. Zamiast tego skupiłem się na próbach uspokojenia gniewu buzującego w moim wnętrzu, ale w pewnej chwili Kisa wzięła mnie za rękę, a moja dłoń zetknęła się z ciepłym ciałem.

Uniosłem nieco głowę i zobaczyłem, że kłęczała przede mną, góra jej sukienki bez rękawów została opuszczona do talii, a jej idealny biust odkryty. Pociągnęła moją dłoń i położyła sobie na nagiej piersi, ale natychmiast oderwałem wzrok od tego widoku – widoku, który mnie niszczył – by spojrzeć w jej

wypełnione mieszaniną niezachwianej determinacji i miłości oczy. Przepelnione cholerną miłością.

Przebiła się przez wszystkie moje bariery.

Przejmując kontrolę, zacisnęła moje palce wokół swojego miękkiego ciała, przez co mi stanął. Przesuwając się na kolanach, Kisa puściła moją dłoń, spojrzeniem nakazując pozostawienie jej tam, gdzie była, i uniosła dół sukienki.

Mój oddech przyspieszył na widok jej koronkowych majtek. Straciłem cały swój gniew, gdy rozwiązała sznureczki z jednej strony i bielizna opadła na podłogę.

Zamarłem oniemiały, gdy moja żona – moja cholernie piękna żona – usiadła na mnie okrakiem i zaczęła ocierać się nagą cipką o moje uda i brzuch.

Zacisnąłem dłoń na jej piersi, a mój wzwód uniósł materiał spodni. Kisie rwał się oddech, gdy łechtaczką dotarła niemal do mojej piersi, nachylając się jednocześnie i szepcząc mi do ucha:

– Kocham cię, skarbie. Mam cię. Nic ci nie jest. Jestem przy tobie...

Zamknąłem oczy, jej słowa przyniosły ulgę i tak po prostu się uspokoiłem.

– Kisa... – szepnąłem w odpowiedzi, a słowa nie chciały przejść przez ściśnięte gardło.

Kisa położyła mi palec na ustach.

– Ciii, *lubov moja*, po prostu... po prostu się ze mną kochaj – powiedziała niemal bezgłośnie. – Pozwól mi się kochać. Pozwól, bym sprawiła, że po-

czujesz się bezpieczny. Bądź moim Luką, chłopcem, którego dusza sparowana była z moją.

Pozwoliłem jej. Kochałem się z nią na podłodze szatni, czym sprowadziła mnie z powrotem. Przegnała demony i ból.

Kiedy po wszystkim oboje próbowaliśmy odrywać oddech, nie odrywając spojrzenia od jej oczu, powiedziałem:

– Prze... przepraszam.

Wyraz twarzy Kisy złagodniał.

– Nigdy nie przepraszaj. Jesteś moim mężem, moim sercem, moją duszą.

Zaczęła docierać do mnie prawda na temat tego, co się właśnie stało, więc z zażenowania zamknąłem oczy.

Kisa musiała wyczuć, że się spałem. Wzięła drżący wdech.

– Bardzo cię kocham, Luka. Wiesz o tym?

Ból i smutek w jej głosie cięły bardziej niż jakkolwiek broń, jaką zadano mi rany w klatce.

– Luka? – Kisa naciskała na moje milczenie, powoli odchylając głowę, by móc na mnie spojrzeć. Jej oczy ponownie wypełniły się łzami. – Kocham cię. – Złapała mnie za podbródek i uniosła mi głowę. – Rozmawiaj ze mną. Otwórz się. – Zamrugęła, próbując rozgonić łzy. Pociągnęła nosem i otarła oczy. – Co się dzisiaj stało? Co zaszło z Viktorem? Dlaczego uciekłeś od papy i Ivana? Zaniedbujesz swój obowiązek wobec Braci.

Westchnąłem wykończony.

Minęła dłuższa chwila, gdy usłyszałem sfrustrowany oddech Kisy i poczułem jej dłonie na policzkach.

– Luka, spójrz na mnie.

Niechętnie uniosłem wzrok i skupiłem się na jej twarzy. Była tak cholernie piękna.

Sięgnęła do mojej obrączki i uniosła mi ją przed nos.

– Widzisz to? Jesteśmy małżeństwem. Ślubowaliśmy przed Bogiem i naszymi rodzinami, że będziemy razem na dobre i na złe. – Wzięła mnie za rękę, wyprostowała palec wskazujący i dotknęła nim skóry pod moim lewym okiem. – Zostaliśmy dla siebie stworzeni, a to oznacza, że dzielisz ze mną swój ból i mówisz mi, kiedy i dlaczego jesteś nieszczęśliwy.

Smutek na twarzy Kisy był nie do zniesienia. Ściskając nasze złączone dłonie, uniosłem je do ust i pocałowałem jej knykcie.

– Jestem z tobą szczęśliwy. Ni... – Wziąłem głęboki wdech i wyznałem: – Przed spotkaniem ciebie nie sądziłem, że mógłbym być szczęśliwy.

Łzy Kisy skapnęły na moją nagą pierś.

– *Solnyszko*, nie płacz – wychrypiałem.

– Ale nie jesteś szczęśliwy. Tulę cię, gdy śpisz. Widzę, jak krążysz w kółko, kiedy mroczne myśli wiją się w twoim umyśle. – Kisa pocałowała mnie w policzek i spojrzała mi w oczy. – Jest coraz gorzej, *lubov moja*. Coś cię gryzie. – Ciche łkanie wymknęło się z jej gardła, więc natychmiast przytuliłem ją do piersi.

– Nie płacz – nalegałem łamiącym się głosem. – Nie mogę znieść widoku twoich łez.

– Więc powiedz mi, co widzisz. Zdradź, co nie pozwala ci być szczęśliwym w tym nowym życiu.

– 362 – rzuciłem. – Obiecałem mu zemstę na tych, którzy go skrzywdzili. Na tych, którzy wtrącili go do Gułagu. – Zaciśnąłem dłonie w pięści na plecach Kisy, ponieważ zaczęły mi drżeć. Wróciły frustracja i wściekłość, gdy wyobraziłem sobie zakrwawioną, martwą twarz 362.

Kisa znieruchomiała w moich ramionach.

– Ojcowie szukają winnych jego niewoli.

– To trwa zbyt długo – stwierdziłem ostrzej, niż zamierzałem.

– Wiem – powiedziała cicho.

– Muszę to zrobić. Muszę to naprawić. – Zesztyniałem, wiedząc, co chciałem powiedzieć. – Muszę ich zabić. Muszę, by dalej żyć.

Kisa zamarła w moich ramionach. Wiedziałem, że nie podobała jej się myśl o ponownym zabijaniu, ale też nigdy nie zrozumie, co 362 dla mnie zrobił.

– Nie znam nawet jego imienia. Zmarł jako numer. Pieprzony niewolnik. Na jego grobie nie ma nazwiska. – Odetchnąłem ciężko przez nos, myśląc o nagiej płycie nagrobnej. – Człowiek, który utrzymał mnie przy życiu w Gułagu, gdy byliśmy dziećmi. Człowiek, który nauczył mnie, jak przetrwać, i uwolnił, gdy byłem już dorosły. Był moim bratem, a po śmierci nie ma nawet imienia. – Ręce mi się

trzęsły przez ogień płonący w moim wnętrzu. – Nie ma honoru. Stracił go, gdy zginął przez moje kastety. To mnie prosił, bym mu go przywrócił. Mnie. Nikogo innego.

Kisa odsunęła się bez słowa, jednak widziałem zrozumienie w jej oczach. Powiodła spojrzeniem po mojej piersi i ramieniu. Uniosła rękę i mnie pogłaskała.

– Trzeba oczyścić tę ranę.

Spojrzałem w miejsce, gdzie Viktor wbił mi w ciało paznokcie, a zaschnięta krew znaczyła moją pokrytą bliznami skórę. Zmarszczyłem brwi i zapytałem:

– Zrobiłem mu krzywdę?

Kisa zatrzymała palec.

– Nic mu nie będzie.

Pochyliłem głowę, a żona objęła mnie za szyję i przytuliła się. Rozluźniłem pięści i odetchnąłem przeciągle, po czym objąłem jej nagą postać i pocałowałem w smukłą szyję.

– Znajdziemy winnych porwania 362, Luka. Przyrzekam. Znajdziemy sposób, byś mógł normalnie żyć. Zrobimy z ciebie najlepszego *kniazia*.

## ROZDZIAŁ DRUGI

### TALIA

Zazwyczaj unikałam tego miejsca jak zarazy. Śmierdziało śmiercią. Jedyne tak byłam zdolna to opisać. Woń krwi, potu i martwych zwierząt przenikała każdy centymetr tego podziemnego piekła, sprawiając, że niemal niemożliwe było oddychanie jego zatechłym powietrzem.

Wyprostowałam się i weszłam na salę treningową Kazamat, zmuszając się, by z uprzejmością kiwnąć głową kilku trenerom niektórych zawodników i sponsorom, wypełniającym szczelnie tę przestrzeń. Cóż, zawodników – w większości byli to gwałciciele, mordercy i generalnie chorzy skurwiele, wykorzystywani przez różnych gangsterów i innych przestępców do szybkiego wzbogacenia się. Nikt nie będzie za nimi tęsknił, jeśli zginą w ringu. Właściwie, moim zdaniem, byłoby to błogosławieństwem dla społeczeństwa.

Nie przeszkadzała mi moja praca. Byłam w niej dobra. Ściągałam sponsorów do Kazamat. Moim

obowiązkiem było zapewnienie im wystarczającej liczby zakładów i znalezienie najlepszych zawodników dla tego celu. Nigdy nie zawiodłam w wyszukiwaniu najlepszych ludzi, a robiłam to sezon za sezonem. Mimo to przy całym tym procederze nadal cierpła mi skóra na widok tych mężczyzn. Dzięki Bogu najczęściej jednak pracowałam w domu. Przebywanie codziennie w tym miejscu śmierci doprowadziłoby mnie do obłądu. Nie miałam pojęcia, jak robiła to Kisa. Westchnęłam z ulgą, gdy w końcu dostałam wolne. Zamierzałam opuścić Brooklyn na kilka miesięcy. Zrobić sobie wakacje, by oderwać się na chwilę od tego życia.

Potrzebowałam oddechu po wszystkim, co zaszło w ciągu ostatniego roku. Musiałam na chwilę porzucić bycie Talią Tolstoj, córką wielkiego Ivana Tolstoja. Musiałam stać się kimś nowym. Miałam nadzieję, że ojciec nie wpadnie w szal, gdy powiem mu, że wyjeżdżam.

Przeszłam przez siłownię, zmiernając do gabinetu Kisy, po czym zamknęłam za sobą drzwi. Moja przyjaciółka siedziała za biurkiem, pisząc coś na komputerze.

– Cześć – powiedziałam i usiadłam na krzesło naprzeciw niej.

Kisa zatrzymała ręce nad klawiaturą i zmarszczyła czoło.

– Dobrze się czujesz? Lekko zzieleniałas – stwierdziłam, widząc, jak ociera spocone czoło.



Machnęła tylko dłonią.

– W porządku, Tal. Czuję tylko, że coś mnie rozkłada.

– Na pewno? Wygląda na to, że masz to od dłuższego czasu – stwierdziłam.

Kisa posłała mi zwyczajowy promienny uśmiech.

– Tak, na pewno.

Wstałam, wyjęłam listę nowych zawodników i ich sponsorów i położyłam ją na biurku.

– Masz tu wszystkie informacje, których będziesz potrzebowała, gdy mnie nie będzie. Jeśli chciałabyś czegoś więcej, zadzwoń albo napisz e-maila.

Kisa wzięła dokumenty i wrzuciła je do szuflady, nim ponownie rozsiadła się w fotelu.

– Dzięki, Tal. – Spuściła wzrok, po czym ponownie na mnie spojrzała. – Chciałabym, żebyś nie wyjeżdżała. Wiem, że będziesz zaledwie kilka godzin drogi stąd i oczywiście potrzebujesz odpoczynku, ale nie podoba mi się myśl, że nie będziemy się codziennie widywać. Będzie dziwnie.

Przeszłam przez pomieszczenie, usiadłam na skraju jej biurka i mrugnęłam do niej figlarnie jednym okiem.

– To dzięki mojej dominującej osobowości. Uależniłaś się ode mnie, Kiso.

Przyjaciółka roześmiała się i poklepała mnie po kolanie.

– Z pewnością. Nie było jeszcze takich wakacji, które spędziłybyśmy osobno.

Mój uśmiech wyblakł i uściśnęłam jej dłoń, spoczywającą na moim kolanie.

– Wiem, *dragaja moja*, ale po ostatnim roku, po powrocie Luki, pogodzeniu się rodziców z tym, że ich syn został zmieniony w mordercę i z najnowszymi informacjami, że Gruzini Jakhuy wrócili na Brooklyn, by zapewne wszcząć z nami wojnę, potrzebuję trochę czasu z dala od tego wszystkiego.

Kisa westchnęła przeciągle i skinęła głową.

– Wiem, co masz na myśli. Było tego sporo. – Odwróciła wzrok, ale zdołałam dostrzec błyszczenie jej niebieskich oczu.

Pochyliłam się i położyłam dłoń na jej ramieniu.

– Hej, co się stało?

Kisa nie poruszyła się przez chwilę, ale ponownie na mnie spojrzała.

– Luka znów ma koszmary. Ostatnio nie jest w dobrej formie, Tal. Nie wiem, co robić.

Ścisnął mi się żołądek.

– Dlaczego? Co się z nim dzieje?

Kisa wstała i posłała mi słaby uśmiech.

– Nic, czym musiałabyś się martwić. – Chciałam się z tym spierać, ale Kisa przyciągnęła mnie do siebie i objęła. – Jedź, odpocznij, Tal. Zrelaksuj się, znajdź znów szczęście i wróc odświeżona. Może do czasu twojego przyjazdu wszystko wróci do normy, Jakhua zostanie pogrzebany, Luka wyzdrowieje, a cała reszta się jakoś ładnie poukłada. – Uściśkałam Kisę, ale po chwili się odsunęła. Zacisnęła

usta w krzywy uśmiech. – Hej, przecież można mieć marzenia. Jedno jest pewne, w cudownym świetle Volkova nigdy nie może być nudno!

– Tak – odparłam, zmuszając się do wesołości. Zawahałam się jednak, wiedząc, że było coś jeszcze, o czym mi nie mówiła. Dziwnie się zachowywała.

Przewróciła oczami, gdy się w nią wpatrywałam.

– Jedź, Tal. Wszystkim się tu zajmę.

Udałam się do drzwi, ale zatrzymałam się, by powiedzieć:

– Myślisz, że z Luką wszystko będzie dobrze?

Kisa objęła się w pasie.

– Jestem tego pewna. Zostawiłam go dzisiaj w łóżku. Miał ciężką noc. Po południu zamierzam spotkać się z ojcami, by dowiedzieć się, czy są w stanie mu pomóc.

Ściągnęłam brwi.

– Co trzeba zrobić? Niezbyt jasno się wyrażasz, Kiso.

Uśmiechnęła się sztucznie.

– Chodzi o jakieś sprawy z Gułagu, o informacje, które wciąż kołaczą się Luce w głowie. Mam nadzieję, że ojcowie rzucą na to nieco światła. To coś, czego potrzebuje twój brat, by skupić się na szkoleniu na wora. Mam wrażenie, że papę złości to, że Luka jest rozproszony. Wydaje mi się, że wątpi, czy mój Luka ma wszystko, czego potrzeba, by pewnego dnia stanąć na czele organizacji.

Podeszłam do Kisy po raz ostatni, a żołądek znów mi się ścisnął na wieść o kolejnych przeszkodach, które miał do pokonania mój brat, ale objęłam ją mocno i pocałowałam w policzek.

– Zadzwoń, gdybyś mnie potrzebowała. A gdybyś sama chciała mieć wolne, przyjedź w odwiedzin. Nie powinnaś zostawać z tym sama. Zaczynasz od tego chorować. – Kisa spięła się w moich ramionach. – Obiecuj mi – nalegałam.

Przytaknęła tuż przy moim ramieniu.

– Przyrzekam, Tal. I... dziękuję – szepnęła.

Trzymając obie ręce na jej ramionach, odsunęłam ją na tyle, by spojrzeć jej prosto w oczy.

– Jesteś moją siostrą, Kiso. Było tak, nawet zanim poślubiłaś mojego brata. Zawsze byliśmy razem. Siostry do grobowej deski.

Kisa otarła pojedynczą łzę i machnęła na mnie ręką.

– Jedź. Wskakuj do samochodu, by uniknąć korków. Odpocznij. Zjedz mnóstwo czekolady i, co najważniejsze, zaszalej. Ostatnio nie miałyśmy tutaj za wiele zabawy.

Parsknęłam krótkim śmiechem.

– Najpierw muszę powiedzieć ojcu, że biorę wolne. Mama wie o wszystkim, razem to zaplanowałyśmy, ale wymyśliłyśmy, że zaskoczenie ojca moim urlopem będzie lepsze, niż dawanie mu czasu, by mi to wyperswadował. Wiesz, że próbowałby wzbudzić we mnie wyrzuty sumienia, żebym została.

Kisa zachichotała i powiedziała:

– Zawsze ci zazdrościłam, Tal. Robisz, co chcesz i kiedy chcesz. Ja bym tak nie mogła. Byłam zajęta udawaniem idealnej rosyjskiej córki. – Mruknęła do siebie: – I co mnie za to, cholera, spotkało?

Spoważniałam na słowa przyjaciółki. Coś w głębi duszy skłoniło mnie do przyznania:

– Nie powinnaś mi zazdrościć. Może i przez większość życia udawało mi się żyć według własnych zasad, ale to ty masz jedno, czego ja nigdy nie będę mieć. Poświęciłabym wszystko, by to zdobyć.

– A co to takiego? – zapytała zdezorientowana.

Przełknęłam ślinę przez ściśnięte gardło.

– Miłość. Masz kogoś, kto uwielbia cię prawdopodobnie bardziej niż ty jego. Ja jestem sama, zawsze byłam zdana tylko na siebie. Oddałabym wszystko, by odnaleźć tak wielką miłość, chociaż nie wyobrażam sobie, by miało mnie to spotkać w tym życiu. Kto, u licha, chciałby umawiać się z córką lidera Braci?

W oczach Kisy odmalowało się współczucie.

– Tal...

Wyciągnęłam rękę.

– Cholera. Gadam głupoty – urwałam, po czym posłałam jej wymuszony uśmiech. – Lepiej już pojedę, Kiso. Niedługo się zobaczymy, dobrze?

Wyszłam z jej gabinetu, nim mogła powiedzieć coś więcej, cały czas odczuwając w piersi tępy ból samotności, który rozbudził moje małe wyznanie.

Potrzebowałam odpocząć.  
Zasłużyłam na wolne.  
Chciałam być normalna.  
Chciałam choć przez chwilę być zwykłą Talią  
z Brooklynu.

## ROZDZIAŁ TRZECI

### LUKA

Byłem wykończony z powodu bezsenności, mimo to zmusiłem się, by wstać z łóżka. Kirill, wor w zakonie, nakazał mi pojawić się po południu w jego gabinecie. Miał się spotkać z pięcioma rodzinami cosa nostry, włoskiej mafii w Nowym Jorku. Kirill chciał, bym poznał bossów na neutralnym gruncie. Zamierzał przedstawić mnie jako przyszłego lidera Braci. Pragnął, by zobaczyli mnie osobiście. Uśmiechał się, gdy mnie o tym informował. Stwierdził, że nie może się doczekać, by zobaczyć strach na ich twarzach, gdy do pomieszczenia wejdzie przyszłość organizacji Volkova.

Przeszedłem do garderoby w sypialni, którą dzieliłem z Kisą i wyciągnąłem jeden z tych cholernych garniturów od projektanta, które musiałem nosić, załatwiając interesy Braci. Chwilę później przeglądałem się w łazienkowym lustrze, poprawiając krawat i opuszczając ręce do boków. Czułem, że zaraz zwariuję. W każdym koszmarze, jaki miałem, zabijałem 362. Widziałem jego brązowe oczy prze-

szklone śmiercią. Większość dni spędzałem, próbując dowiedzieć się, kim był, skąd pochodził... Ale jak do tej pory nie udało mi się niczego dowiedzieć.

Odwrociłem się od lustra i zszedłem po schodach. W samochodzie spotkałem się z Michaiłem, moim osobistym ochroniarzem, przełożonym *Byków*.

Bez słowa zawiózł mnie prosto do domu Kirilla Volkova. Wszedłem do ogromnego korytarza i udałem się do jego gabinetu. Znalazłszy się pod drzwiami, usłyszałem dochodzące ze środka głosy Kisy i mojego ojca, a gdy miałem już wejść, ich cicha rozmowa kazała mi się zatrzymać.

– Dowiedziałeś się czegoś o 362? Twoi informatorzy znaleźli jakieś nowe informacje? – zapytała Kisa.

Zapadła cisza, a moje serce znacznie przyspieszyło. Zaciśnięciem palce na kłamce, gdy mój ojciec odchrząknął.

– Od kilku miesięcy znamy tożsamość 362, Kiso.

– Co? – szepnęła, zszokowana. – Od miesięcy? I nie powiedzieliście Luce?

– To delikatna sprawa, Kiso – przemówił mój ojciec. – Taka, jak ostatnio. I nie możemy pogorszyć już i tak złej sytuacji... – Usłyszałem zgrzyt krzesła. – ...Zwłaszcza nie dla niego. Nie dla 362. – Ojciec wymówił słowa „niego” i „362”, jakby były trucizną w jego ustach.

– Nie rozumiem. Nie... Co? – mamrotała Kisa.  
– Kim był 362?



Ojciec odpowiedział zimno:

– Nazywał się Kostava. – Kisa musiała zareagować jakoś na to nazwisko, ponieważ ojciec dodał: – To prawda, Kiso. Spośród wszystkich ludzi, wszystkich rodzin na świecie, człowiekiem, który znalazł mojego syna w piekle i się z nim zaprzyjaźnił, był cholerny Kostava.

Rozmowa ustała, ale mogłem skupić się jedynie na tym, że wiedzieli. Przez cały ten czas byli świadomi tego, kim był 362. I trzymali to, kurwa, w tajemnicy.

Odczuwając przyływ gniewu, uderzyłem ramieniem w drzwi i wpadłem do pomieszczenia. Kirill siedział za biurkiem, mój ojciec i Kisa przed nim. Cała trójka spojrzała na mnie, gdy stanąłem w progu gabinetu. Moje nozdrza poruszały się intensywnie od nerwowego, pospiesznego oddechu.

– Luka... – szepnęła blada Kisa. Zignorowałem ją jednak i skupiłem wzrok na ojcu.

– Cały czas wiedziałeś?! – zagrziałem. Podszedłem do niego. Niemal odpuściłem, widząc błysk strachu w jego brązowych oczach, ale przypomniałem sobie, że zataił przede mną cenne informacje. Wiadomości, których desperacko łaknąłem.

Kisa chciała złapać mnie za rękę, ale wyrwałem się z jej słabych palców.

– Nie! Przestań! – warknąłem na żonę i spojrzałem na ojca i Kirilla. – Chcę to usłyszeć z ich pieprzonych ust! Chcę się dowiedzieć, dlaczego trzy-

mali tę wiedzę w tajemnicy. Dlaczego nie przekazali mi jedynej informacji, o jaką ich prosiłem!

Ojciec wyciągnął rękę.

– Luka...

Jednak już się zagalopowałem. Zbolały ryk wymknął się z mojego gardła. Zbliżyłem się do biurka, chwyciłem za skraj blatu i wywróciłem je na bok.

– Luka! – krzyknęła Kisa, ale zacząłem chodzić po pomieszczeniu, czując, jakbym przez tę zdradę tracił pieprzony rozum.

Chodziłem w kółko, przesuając rękami po włosach.

– Przez miesiące wmawialiście mi, że niczego, kurwa, nie wiecie!

Ojciec poderwał się z miejsca, więc odwróciłem się, by stanąć z nim twarzą w twarz.

– Zabiłem go! Kurwa, zabiłem go! – Wyciągnąłem ręce do ojca. – Tymi pieprzonymi rękami. Zamordowałem go. Zamordowałem...

– Aby mnie ocalić – wtrąciła się Kisa. Natychmiast skupiłem na niej wzrok. Podszedłem do niej, przy czym Kirill wstał z miejsca. Stał obok córki, jakby nie chciał, żebym się do niej zbliżał. Co jeszcze bardziej mnie wkurzyło. Kisa skinęła do ojca głową, więc się cofnął.

Objęła moją twarz. Odprężyłem się nieco, gdy poczułem na rozpalonej skórze dłonie żony.

– Uspokój się, kochanie. Posłuchaj swojego papy.

*Dalsza część książki dostępna w wersji  
pełnej.*

